

NIE ZNAM WAS LUDZIE...

Zawsze, kiedy człowiek próbuje zanurzyć się w czasie, najbardziej zadziwia jednoczesność. Czy można mieć jednocześnie trzy, dziesięć i siedemdziesiąt lat? Czy można jednocześnie pamiętać wojenne bombardowanie, krój komunijnej sukienki i zabawę z wnukiem? Być po raz pierwszy zakochaną dziewczyną i opłakiwać kogoś, z kim przeżyło się kilkadziesiąt lat? Mieć na końcu języka smak ulubionych placków z dzieciństwa, a w uszach wciąż wzruszający przebój puszcany z czarnej płyty lub pocztówki dźwiękowej na jakiejś prywatce? Dlaczego pod powiekami pojawiają się te a nie inne obrazy? Dlaczego jedne przychodzą od razu, a inne – całe potężne obszary czasu, o którym wie się, że kiedyś były tak ważne – są jakby wymazane, bez konturów nawet twarzy, imion, miejsc, zdarzeń? I dlaczego inni pamiętają to samo inaczej? Gdzie jest prawda?

Gdy pada pytanie o pamięć jest pustka. Panika nawet – bo jak można nie pamiętać własnego życia? Dopiero kiedy w głowie pojawi się jakiś szczegół: zapach, dźwięk, kolor, przedmiot, nagle widzimy wielość równoległych krajobrazów, nagle jesteśmy sobą w wielu miejscach i czasach, w jednoczesnej świadomości dorosłego i dziecka, z emocjami, których zapis w naszym ciele jest jak rowek, w który trafia igła adapteru – nawet jeśli płyta przerywa i trzeszczy, to i tak jest to najważniejsza melodia na świecie...

W taki właśnie świat – zapamiętanych, zapomnianych, pamiętanych za każdym razem i przez każdego inaczej zdarzeń, miejsc, obrazów, głosów i pogłosów – poprowadzili nas (widzów w różnym wieku) aktorzy spektaklu „Beze mnie świat trwa tylko chwilę“, który został pokazany – jako efekt kilkumiesięcznych warsztatów – na scenie Teatru Kana. Wchodzimy – lekko zdezorientowani – do sali teatralnej, która zamieniona została w tymczasowe, „objazdowe“ kino – dostajemy do ręki bilet z numerem krzeselka. Przed nami ekran – na nim początkowo obraz „szumu“, później pojawiają się stare rodzinne fotografie. Przed ekranem stół, na nim adapter, rozrzucone czarne płyty w kolorowych okładkach. Kilka osób: dwóch panów którzy we wzajemnym „symetrycznym“ dialogu przypominają braci Janickich ze spektakli Tadeusza Kantora, podchodzące kolejno do stolika panie – wszyscy sprzeczą się o to, jaką płytę włączyć, jaki przebój jest największym szlagierem. W końcu jedna z pań rzuca: zagrajmy piosenkę, która jest najbardziej adekwatna do naszej sytuacji: „Już nigdy...“. I komentuje „Wiele rzeczy już nigdy!“. Publiczność wybucha śmiechem.

Właśnie śmiech jest jednym z kluczy do tego, niezwykle barwnego, pełnego wyrazistych aktorskich (i ludzkich) osobowości przedstawienia, które w całości oparte jest na półimprowizowanych dialogach przechodzących momentami w wielość. Aktorzy przerywają sobie nawzajem i ustawiają, komentują opowieści poprzednika, wtrącają się – wytrącając przedmówcę z rytmu, często też zaskakują siebie nawzajem nieobecnymi w scenariuszu działaniami. Świat ich wspomnień jest światem bogatym w smaki, zapachy, kolory, zmieniające się nieustannie rytmy, zakrzywiające się i wciąż na siebie zachodzące czaso-przestrzenie. Raz mowa jest o bucikach z materiału uszytych przez mamę do komunii, o włosach zbyt sztywnych, żeby można było zakręcić na nich loki, obciętych do półtucha i – w ramach rekompensaty – okrytych długim welonem („za to na ślubie welonu nie miałam!“), o zdjęciu, które pozostało na zawsze w zakładzie u fotografa, bo zbyt dużo kosztowało, aby je wykupić („a u nas w domu straszna bieda była“). Zaraz potem o złych wspomnieniach pamiętanych jako dobre (błyski nabtu w oczach dziecka wyglądały jak pokaz fajerwerków), o dobrych, które są kolekcjonowane, a nawet planowane („chcę uczestniczyć w życiu moich wnuków“) i złych, które są zdecydowanym ruchem skreślane z rysunku pamięci. Pojawiają się też: kogel – mogel (tu znowu sprzeczką: „z kakao“ lub

„tylko z cukrem – cztery łyżeczki“), „porozumiewawczy“ dźwięk otwieranej butelki, walc na trzy czwarte wydobyty z uderzeń dłoni o ścianę, melodia znanej operetki.

Aktorzy rozsądzeni są po całej „kinowej“ sali i widzowie co i raz zaskakiwani są kolejną „ujawniającą się“ z własną historią postacią. Trochę jak w szkolnej klasie podczas przerwy – wszyscy siedzimy w ławkach, a rozbrykani uczniowie przerzucają się wspomnieniami, niczym zabranym koleżance pamiętnikiem i rywalizują ze sobą recytując zapamiętane z dzieciństwa wiersze. W pewnym momencie znajdujemy się na swoistym „targowisku pamięci“. Jesteśmy kuszeni i zapraszani – patrzcie na mnie, mnie słuchajcie, ja mam najlepszą historię. Pojawiają się artefakty przedmiotów: zdjęcia kolekcji butów w unikalnym rozmiarze 41; katalog pełen eleganckich kapeluszy; zestaw pamiątkowych pocztówek z wycieczek; przezfotografowany i zafoliowany zbiór zbieranych przez lata eleganckich grawerowanych zegarków; kalejdoskop kilkunastu zeskanowanych legitymacji – zapis etapów, miejsc i zmieniających się w czasie portretów w rozmiarze 2 na 3 cm, dowodów kolejnych tożsamości. A wreszcie – zakłęte z rozsypanek literowych wiersze i zapisane na tekturowych zawieszki melodie – jedne i drugie rozwieszane (jak pranie) na sznurkach rozciągniętych ponad głowami widzów. Najpierw opowieści z nimi związane płyną jedna po drugiej, później aktorzy zaczynają mówić symultanicznie do znajdujących się w ich zasięgu osób. Pozornie wprowadza to trudny do ogarnięcia chaos, tak naprawdę jednak właśnie wtedy zaciera się granica pomiędzy tym co publiczne i tym co prywatne, przeznaczone dla jednych tylko oczu – anonimowość i bezpieczny dystans widzów zamieniony zostaje w intymną rozmowę.

Gdy jednak rozbrzmiewa rzewny najpierw, a potem coraz bardziej biesiadny dźwięk akordeonu, gdy do śpiewania starych melodii dołączają osoby z publiczności i zaczynamy już się spodziewać, że przerodzi się to wszystko w sentymentalny taneczny finał, spektakl znów zaskakuje – muzyka na żywo milknie, a nasza uwaga powraca w stronę ekranu. Widzimy na nim szachownicę twarzy przysłoniętych białymi kartkami zza których wystają jedynie czubki głów i oczy bohaterów – tylko środkowy obrazek pokazuje wciąż grającego (tym razem już na filmie) akordeonistę – pozostali naśladują i przedrzeźniają jego grę przebijając palcami po pustych kartkach. Gdy dokańcza się znana melodia („Wielka sława to żart...“) wszyscy nagle odsłaniają twarze i robiąc śmieszne miny dają „prztyczka w nos“ oczekiwaniom widzów – zamiast wspominkowej nostalgii dostajemy humor i kpinę – tyleż z samego siebie, co także z naszego (widzów) podszytego protekcyjnością „rozumienia“ starości.

Być może ta właśnie scena w sposób najbardziej przewrotny i dojmujący pokazuje nam, że starość jest przede wszystkim stanem ducha i umysłu. Zazdrościmy niemalże dojrzałym aktorom ich energii, temperamentu, odwagi, radości ze wspólnego bycia, frajdy, jaką daje im występowanie na scenie - tego, że tak się dobrze razem bawią. Także tego, że potrafią z humorem i dystansem opowiadać o rzeczach trudnych, że nie uciekają od przeszłości, ale też nie pozwalają się jej przesładować.

Spektakl o pamięci łatwo może stać się muzeum pełnym martwych, zakurzonych pamiątek. Utworem poprawnym politycznie, lecz trudnym do zniesienia: sentymentalnym, nudnym, „szantażującym“ emocje. „Beze mnie świat trwa tylko chwilę“ jest zdecydowanie „niepoprawny“ – łamie stereotypy, zaraża niewymuszonym śmiechem, wciąga w zabawę. Jest tak naprawdę spektaklem o młodości, która jest poza czasem i może być na nowo przeżywana w każdym wieku. Tak jak poza czasem jest nasza pamięć – możemy bez ograniczeń prowadzić dialog z samym sobą, przywołując - jednocześnie i równolegle - różne wspomnienia. I wszystkie one – nielinearnie – składają się na nasze życie.

Taka konstrukcja opowieści (tak odległa od klasycznie rozumianego „występu“, odwracająca przestrzeń sceny, zbliżająca aktorów do widzów, oparta na prywatności zarówno opowiadanych historii jak i budowanych postaci) nie byłaby jednak możliwa bez zaufania – grupy wobec siebie, grupy wobec osoby prowadzącej warsztat, zespołu aktorskiego wobec reżysera i przede wszystkim każdego z osobna – do samego siebie. Na tym chyba najbardziej polega ogromna wartość tej pracy – przez te kilkanaście spotkań, skupiających uwagę wokół określonego tematu, wypełnionych z jednej strony (z całą pewnością) żywiołem zabawy i energią towarzyskiego spotkania, z drugiej jednak opartych na budowaniu bliskości, intymności, przywoływaniu bolesnych często i niełatwych wspomnień, udało się chyba stworzyć przestrzeń „bezpiecznej wolności“, co zaowocowało ogromną naturalnością, otwartością i kreatywnością całego zespołu, który podczas przedstawienia prześcigał się wręcz w ciętych puentach i niewymuszonej improwizacji. Przez cały czas trwającego ponad czterdzieści minut spotkania miało się poczucie, że – oni, przyniesione przez nich przedmioty i „wydobyte“ z nich historie – są dla nich samych bardzo ważne, a dzięki temu stawały się one ważne także dla nas. „Nie znam was ludzie – ale wy mnie obchodzicie“ powiedział niegdyś Wienia Jerofiejew, bohater poematu „Moskwa – Pietuszki“. Aktorzy spektaklu „Beze mnie świat trwa tylko chwilę“: Lidka, Ania, Bożena, Danusia, Halinka, Iza, Hania, Rysiek i Zygmunt sprawili, że ich życie zaczęło mnie naprawdę obchodzić. I nie ma w tym „nic osobistego“...

Marta Poniatowska